

HONORÉ DE BALZAC

BANK NUCINGENA

Honoré de Balzac

Bank Nucingena

«Public Domain»

de Balzac H.

Bank Nucingena / H. de Balzac — «Public Domain»,

Życie Eugeniusza de Rastigniac zmieniło się w bardzo krótkim czasie — mężczyzna zrobił szybką karierę i osiągnął wysoką pozycję społeczną. Jego sukces jest przedmiotem dyskusji słynnych paryskich dziennikarzy. Wspólnie wymieniają plotki i zastanawiają się, co z awansem społecznym ma wspólnego romans z żoną jednego z najbardziej wpływowych francuskich finansistów. Balzak w Banku Nucigena dokładnie opisuje mechanizmy rynkowe i finansowe zawiłości z lat 30. XIX-wiecznej Francji, przez literacką fikcję przedstawia realia tamtych czasów. Bank Nucigena należy do cyklu Komedii Ludzkiej autorstwa Honoriusza Balzaka. Na serię składa się ponad 130 utworów, połączonych przez wielu powtarzających się bohaterów. Autor ukazuje człowieka niemalże jako przedmiot swoich badań obserwowany w różnych środowiskach. Ważnymi tematami Komedii Ludzkiej są finanse, obyczaje oraz miłość.

© de Balzac H.

© Public Domain

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

14

Honoré de Balzac

Bank Nucingena

Pani Zulmie Carraud.

Czyż nie Tobie, Pani, której niepospolita i rzetelna inteligencja jest prawdziwym skarbem dla Twoich przyjaciół, Tobie, która jesteś dla mnie zarazem całą publicznością i najpobłażliwszą siostrą, winienym był poświęcić to dzieło? Racz je przyjąć jako dowód przyjaźni, z której jestem dumny. Ty i kilka dusz, pięknych jak twoja, zrozumieją moją myśl, czytając Bank Nucingena złączony z Cesarem Birotteau. W tym kontraście, czyż nie mieści się cała nauka społeczna?

De Balzac.

Wiadomo, jak cienkie są przepierzenia, rozdzielające separatki w najwykwintniejszych restauracjach paryskich. U Very'ego na przykład największy salon podzielony jest na pół przepierzeniem, które wyjmuje się i wstawia do woli. Scena niniejsza nie rozgrywała się tam, ale w przyzwoitym miejscu, którego nie wypada mi nazwać. Było nas dwoje, powiem tedy, jak pan Prud'homme u Henryka Monnier: „Nie chciałbym jej skompromitować”. Delektowaliśmy się obiadem rozkosznym pod każdym względem, w saloniku, gdzie, zauważywszy cienkość ścianki, rozmawialiśmy po cichu. Doczekaliśmy pieczystego, nie mając sąsiadów w przyległej sali, gdzie słyszeliśmy jedynie trzaskanie ognia. Ósma wybiła, rozległo się wielkie szuranie nóg, gwar rozmowy, służba wniosła świece. Odgadliśmy, że przyległy salon jest zajęty. Poznałem po głosach, kim byli nasi sąsiedzi.

Były to cztery najzuchwalsze kormorany wylęgłe w pianie, jaka pływa po wciąż odnawiających się nurtach obecnego pokolenia; miłe chłoptasie, których egzystencja jest dość zagadkowa, których posiadłości ani dochodów nikt nie zna, a którzy mimo to żyją sobie dobrze. Ci sprytni **kondotierzy**¹ nowoczesnego przemysłu, który się stał najokrutniejszą z wojen, zostawiają troski swoim wierzytelom, zachowują przyjemności dla siebie, dbają jedynie o kostium. Zresztą zuchy zdolne, jak Jan Bart, palić cygaro na baryłce prochu, może dlatego, aby nie wypaść z roli; kpiarze jadowni od brukowego dzienniczka, kpiarze zdolni kpić z samych siebie; przenikliwi i nieufni, węszący za interesami, chciwi i rozrzutni, zawistni o drugich, ale zadowoleni z samych siebie; głębocy politycy, kiedy zechcą, analizujący wszystko, odgadujący wszystko, nie zdołali jeszcze wypłynąć w świecie, w którym chcieli błyszczeć. Jeden tylko z nich czterech **doszedł**, ale tylko do stóp drabiny. To jeszcze jest nic mieć pieniądze; dopiero po sześciu miesiącach pochlebstw parweniusz wie, czego mu braknie wówczas. Małomówny, zimny, sztywny, parweniusz: ten nazwiskiem Finot, miał tę wytrwałość, aby się płaszczyć przed ludźmi, którzy mogli mu być potrzebni, a ten spryt, aby być hardym wobec tych, których już nie potrzebował. Podobny do jednej z komicznych figur w balecie *Gustaw* jest margrabią z tyłu, a chamem z przodu.

Ten książę przemysłu trzyma sobie zausznika Emila Blondet: dziennikarza, człowieka wielkiej inteligencji, ale bez charakteru, świetnego, zdolnego, leniwego, świadomego, że go wyzyskują, machającego na to ręką, fałszywego lub pocziwego wedle kaprysu; jednego z tych ludzi, których się lubi, ale nie szanuje. Sprytny jak teatralna subretka², niezdolny odmówić swego pióra temu, kto o nie poprosi, ani serca temu, kto je wypożyczy, Emil jest uroczym typem owych mężczyzn-dziewek, o których najkapryśniejszy z naszych humorystów powiedział: „Wolę ten typ w atlasowych trzewiczkach niż w butach”.

¹ *kondotier* (z wł.) – najemny żołnierz. [przypis edytorski]

² *subretka* (z fr.) – pokojówka, służąca. [przypis edytorski]

Trzeci, nazwiskiem Couture, utrzymuje się ze spekulacji. Chwyta się interesu po interesie; powodzenie jednego pokrywa niepowodzenie innych. Toteż pływa po wodzie, podtrzymywany swą nerwową energią, zimnym i śmiałym rozmachem. Żeglujecie to tu, to tam, szukając w olbrzymim morzu paryskich interesów jakiejś dość wątpliwej wysepki, na której by mógł osiąść. Rzecz jasna, że nie jest na swoim miejscu.

Co do czwartego, najsprytniejszego z czterech, nazwisko jego wystarczy: Bixiou! Niestety! To już nie jest Bixiou z 1825 roku, ale z 1836, pół mizantrop³, pół błazen sławny z werwy i złośliwości, wściekły, iż strwonił na darmo tyle talentu, wściekły, że nie wyłowił nic w ostatniej rewolucji, rozdający każdemu kopnięcia nogą jak istny Pierrot z *Funambules*, znający swoją epokę i jej skandaliki na palcach, strojący je ucieśznymi ornamentami, skaczący na wszystkie barki jak klaun i rad zostawić na nich piętno na sposób kata.

Zaspokoiwszy pierwsze żądania łakomstwa, sąsiedzi nasi doszli do punktu, w którym znajdowaliśmy się my, do deseru, i dzięki naszemu cichemu zachowaniu, sądzili, że są sami. W dymie cygar, przy udziale szampana, wśród gastronomicznych uciech deseru, zawiązała się tedy poufna gawęda. Nacechowana owym chłodem, który ścina najbardziej elastyczne uczucia, hamuje najszlachetniejsze porywy i daje śmiechowi coś ostrego, rozmowa ta, pełna cierpkiej ironii zmieniającej wesołość w urąganie, świadczyła o wyczerpaniu dusz żyjących wyłącznie sobą, bez innego celu prócz zadowoleń egoizmu będącego owocem pokoju, w którym żyjemy. Ów pamflet na człowieka, którego Diderot nie odważył się wydać drukiem, *Kuzynek mistrza Rameau*, owa książka umyślnie rozchlastana, aby odsłonić rany, jest jedyną, którą dałoby się porównać z tym pamfletem wygłoszonym bez żadnych osłonek, gdzie słowo nie szanowało nawet tego, co myśliciel waży jeszcze, gdzie budowano jedynie z gruzów, gdzie zdeptano wszystko, korząc się wyłącznie przed tym, co uznaje sceptycyzm, wszechmoc, wszechwiedzę, wszechkonwenans pieniądza. Ostrzelawszy krąg znajomych, obmowa zaczęła brać na cel serdecznych przyjaciół. Jeden znak dostatecznie wytłumaczy moją ochotę, aby zostać i słuchać w chwili, gdy, jak się to pokaże, Bixiou zaczął mówić. Usłyszeliśmy wówczas jedną z owych piekielnych improwizacji, które zyskały temu artyście reputację u pewnych zużytych dusz, a monolog ten, mimo że często przerywany, poniechany i rozpoczynany na nowo, utrwalił się w stenogramie mej pamięci. Poglądy i ich forma, wszystko tu jest poza ramą literatury. Ale bo też to było istne *potpourri*⁴ rzeczy posępnych malujące naszą epokę, której powinno by się opowiadać jedynie podobne historie. Zresztą odpowiedzialność zostawiam głównemu narratorowi. Mimika, gesty, w połączeniu z częstymi zmianami głosu, jakimi Bixiou malował swoje figury, musiały być doskonałe, bo trzech słuchaczy wydawali bezwiednie krzyki uznania oraz pomruki radości.

– I Rastignac odmówił ci? – spytał Blondet Finota.

– Kategorycznie.

– Aleś ty mu zagroził dziennikiem? – spytał Bixiou.

– Zaczął się śmiać – odparł Finot.

– Rastignac jest w prostej linii spadkobiercą nieboszczyka de Marsaya, zrobi karierę w polityce, jak zrobił ją w życiu – rzekł Blondet.

– Ale jak on zrobił majątek? – spytał Couture. – W roku 1819 mieszkał ze sławnym Bianchonem w nędznym pensjonacie w dzielnicy łacińskiej; rodzina jego jadła pieczone chrabąszcze i piła wodę, aby mu móc posyłać sto franków miesięcznie; folwarczek jego ojca nie był wart ani tysiąca talarów; miał dwie siostry i brata na karku, a dziś...

– Dziś ma czterdzieści tysięcy franków renty⁵ – odparł Finot. – Obie siostry wyposażył hojnie i wydał świetnie za mąż, matce zaś zostawił dożywocie...

– W roku 1827 – rzekł Blondet – widywałem go jeszcze bez grosza.

³ mizantrop – osoba czująca niechęć do ludzi, unikająca towarzystwa innych. [przypis edytorski]

⁴ potpourri (fr.) – dosł. bigos; całość złożona z różnorodnych elementów (np. wiązanka utworów muzycznych). [przypis edytorski]

⁵ renta – tu: procent od sum ulokowanych w banku, na giełdzie itp.; por. *rentier*. [przypis edytorski]

– Och! W 1827 – rzekł Bixiou.

– No i dziś – podjął Finot – widzimy go na drodze do zostania ministrem, parem Francji, wszystkim czym zechce! Od trzech lat skończył przyzwoicie z Delfiną, ożeni się jedynie na upatrzonego, a on może dostać pannę z najlepszej rodziny, ba! Ten chłopak miał dobry węch, aby się zakochać w kobiecie bogatej.

– Moi drodzy, uwzględnijcie łagodzące okoliczności – rzekł Blondet – chłopiec dostał się w łapy sprytnego człowieka, ledwie wyszedłszy ze szponów nędzy.

– Ty znasz dobrze Nucingena – rzekł Bixiou. – Otóż w pierwszych czasach Delfina i Rastignac mieli go za pocziwca; zdawało się, że żona to dla niego w domu zabawka, ozdóbka. I oto co go dla mnie czyni człowiekiem z jednej sztuki: Nucingen nie kryje się z tym i powiada głośno, że żona jest dla niego sztyldem jego majątku, **rzeczą** nieodzowną, ale drugorzędną w gorączkowym życiu polityka i finansisty. Powiedział przy mnie, że Bonaparte był głupi jak przeciętny łyk w stosunku do Józefiny i że, skoro miał odwagę użyć jej jako stopnia, śmieszny był, czyniąc z niej towarzyszkę życia.

– Każdy rozumny człowiek musi mieć co do kobiet opinię Wschodu – rzekł Blondet.

– Nasz baron stopił teorie Wschodu i Zachodu w rozkoszną teorię paryską. Nie znosił de Marsaya, który był zbyt niepodatny; ale Rastignac spodobał mu się bardzo; wyzyskiwał go bez jego wiedzy; zostawił mu wszystkie ciężary swego małżeństwa. Rastignac znosił wszystkie kaprysy Delfiny, woził ją do Lasku, prowadził do teatru. Ten dzisiejszy wielki mały polityk długo trawił życie na wymienianiu czułych bilecików. W początkach Eugeniusz znosił sceny o byle co, weselił się z Delfiną, gdy była wesoła, smucił się, gdy była smutna, dźwigał brzemień jej migren, jej zwierzeń, oddawał jej wszystek swój czas, wszystkie godziny, swoją szacowną młodość, aby zapłacić pustkę rozpróżnianej paryżanki. Odbywał z Delfiną wielkie narady nad tualetą, w której jej będzie najlepiej do twarzy; znosił jej gniewy i dąsy, podczas gdy dla kontrastu była przemiła dla barona. Baron śmiał się w duszy, kiedy zaś widział, że Rastignac ugina się pod ciężarem, **dawał do poznania, że domyśla się czegoś** i łączył kochanków wspólnym strachem.

– Rozumiem, że przy kobiecie bogatej Rastignac mógł wyżyć i to przyzwoicie wyżyć; ale skąd on wziął majątek? – spytał Couture. – Majątek, równie znaczny jak on ma dzisiaj, trzeba skądś wziąć, a nikt nigdy nie posądził go o wynalezienie jakiegoś dobrego interesu.

– Odziedziczył – rzekł Finot.

– Po kim? – spytał Blondet.

– Po dudkach na których trafił – odrzekł Couture.

– Nie wszystko zabrał, moje gołąbki – rzekł Bixiou. – Zostanie jeszcze. Opowiem wam początki jego fortuny. Przede wszystkim, pokłon talentom! Nasz przyjaciel to nie jest łobuz, jak powiada Finot, ale gentleman, który umie grać, który zna karty i którego galeria szanuje. Rastignac ma całą inteligencję, którą trzeba mieć w danej chwili, tak jak żołnierz, który lokuje swoje męstwo jedynie na dziewięćdziesiąt dni, trzy podpisy i gwarancje. Może się wydawać postrzelony, narwany, niekonsekwentny, zmienny, bez zdania; ale niech się nastroczy poważny interes, jakaś szczęśliwa kombinacja, on nie będzie się rozpraszał jak nasz tu obecny Blondet, który wówczas będzie dyskutował szanse sąsiada. Rastignac skupia się, bierze się w garść, bada punkt, w który trzeba uderzyć i szarżuje całą siłą. Z impetem Murata rozwała czworoboki, akcjonariuszów, członków-założycieli i cały kram; kiedy wyrąbał dziurę, wraca do swego miękkiego i leniwego życia, staje się znów Południowcem, rozkosznikiem, gadułą, próżniakiem, który może wstawać w południe, bo nie zasnął w stanowczej chwili.

– Bardzo pięknie, ale przejdź do jego majątku – rzekł Finot,

– Bixiou robi literaturę – odparł Blondet. – Prawdziwy majątek Rastignaka to Delfina de Nucingen, niepospolita kobieta, która łączy odwagę z przewidywaniem.

– Czy ci pożyczyła pieniędzy? – spytał Bixiou.

Rozległ się chóralny śmiech.

– Przeceniasz ją – rzekł Couture – jej inteligencja polega na tym, że paradytuje dowcipkiem, że kocha Rastignaka z kompromitującą wiernością, słucha go ślepo, słowem, kobieta w stylu włoskim.

– Plus pieniądze – rzekł cierpko Finot.

– No, no – podjął Bixiou słodziutkim głosem – po tym, cośmy powiedzieli, czy ośmielicie się jeszcze brać za złe biednemu Rastignakowi, że żył na koszt firmy Nucingen, że go wzięto na utrzymanie dokładnie tak, jak niegdyś wziął **Dretwę** nasz przyjaciel des Lupeaulx? To by był szczyt mieszczańskich przesądów. Zresztą, mówiąc abstrakcyjnie, jak powiada Royer-Collard, kwestia może wytrzymać **krytykę czystego rozumu**, co zaś do nieczystego...

– Już jedzie! – rzekł do Blondeta Finot.

– Ależ – wykrzyknął Blondet – on ma słuszość. Kwestia jest bardzo stara; ona to była sekretem słynnego śmiertelnego pojedynku między szlachetnymi panami Châteigneraie i Jarnac. Obwiniano Jarnaca, że żyje w czułych stosunkach z teściową, która finansuje dostatek zbyt ukochanego zięcia. Kiedy jakiś fakt jest tak prawdziwy, nie powinno się o nim mówić. Przez poświęcenie dla króla Henryka II, który pozwolił sobie na tę ploteczkę, la Châteigneraie wziął ją na swój rachunek, stąd ten pojedynek, który wzbogacił język francuski wyrażeniem: **cios Jarnaca**.

– Ba! wyrażenie sięga tak głębokiej starożytności, jest zatem szlachetne – rzekł Finot.

– Miałeś prawo nie wiedzieć o tym, jako ex-właściciel dzienników i przeglądów – rzekł Blondet.

– Istnieją kobiety – ciągnął poważnie Bixiou – istnieją też mężczyźni, którzy umieją podzielić swą egzystencję i oddać tylko jej część (zważcie, że ja redaguję moją myśl w duchu formuły humanitarnej). Dla tych osób wszelki interes materialny mieści się poza uczuciami; oddają kobiecie swoje życie, swój czas, swój honor i uważają, że nie wypadałoby trwonić między sobą jedwabnego papieru, na którym wypisane jest: **Podrabiający ten papier będzie karany śmiercią**. Nawzajem, ludzie ci nie przyjmą nic od kobiety. Tak, wszystko staje się hańbiące, gdy istnieje stopienie interesów, jak istnieje stopienie dusz. Te zasady się wygłasza, ale stosuje się je rzadko...

– Och! – rzekł Blondet – cóż za dzieciństwo! Marszałek de Richelieu, który znał się na galanterii, dał tysiąc ludwików pensji pani de La Popelinière po przygodzie z płytą w kominku. Agnieszka Sorel ofiarowała zupełnie po prostu królowi swój majątek i król go przyjął. Jakub Coeur utrzymywał koronę francuską, która pozwoliła na to i okazała się niewdzięczną jak kobieta.

– Panowie – rzekł Bixiou – miłość, która nie mieści w sobie nierozdzielnej przyjaźni, wydaje mi się chwilową rozpustą. Cóż znaczy zupełne oddanie, jeżeli się coś wyłącza? Między tymi dwiema teoriami równie sprzecznymi i równie niemoralnymi, jedna jak i druga, nie ma możliwego pojednania. Wedle mnie, ludzie, którzy obawiają się absolutnego związku, sądzą niewątpliwie, że kiedyś się on skończy, a wówczas diabli wzięli złudzenie! Namiętność, która nie wierzy w to, że jest wieczna, jest wstrętą. (Uważacie: Fenelon najczystszej wody!) Toteż ludzie którzy znają świat, bywalcy, ludzie dystyngowani, ludzie w pięknych rękawiczkach i krawatach, którzy nie wstydzą się zaślubić kobiety dla majątku, głoszą konieczność zupełnego rozdziału interesów i uczuć. Drudzy to wariaci, którzy kochają, którzy myślą, że są sami na świecie ze swą kochanką! Dla tych miliony to błoto; rękawiczka, kamelia, którą nosiło ich bóstwo, warte są miliony! O ile nie złapiecie ich nigdy na trwonieniu szpetnego metalu, znajdziecie w zamian u nich szczątki kwiatów przechowane w pięknych cedrowych szkatułkach! Nie rozróżniają już jednego od drugiego. Dla nich nie istnieje już **ja**. TY, oto ich wcieloną Słowo. Cóż chcecie, czy wytępicie tę sekretną chorobę serca? Są głupcy, którzy kochają bez wszelkiej rachuby, i są mędrcy, którzy rachują kochając.

– Bixiou jest wzniosły – wykrzyknął Blondet. – Cóż na to Finot?

– Wszędzie indziej – odparł Finot przybierając pozę – byłbym zdania gentlemenów; ale tutaj myślę...

– Jak bezecni hultaje, z którymi masz zaszczyt się znajdować – odparł Bixiou.

– Na honor, tak – rzekł Finot.

– A ty? – rzekł Bixiou do Couture'a.

– Dzieciństwa – wykrzyknął Couture. – Kobieta, która nie czyni ze swego ciała stopnia, aby pomóc dojść do celu ukochanemu mężczyźnie, to kobieta, która ma serce tylko dla siebie.

– A ty, Blondet?

– Ja działałam.

– Otóż – podjął jadowicie Bixiou – Rastignac nie był waszego zdania. Brać, a nie oddać, to rzecz ohydna, a nawet nieco lekkomyślna; ale brać, aby mieć prawo naśladować monarchę, oddając stokrotnie, to czyn rycerski. Tak myślał Rastignac. Rastignac czuł się głęboko upokorzony swoją wspólnością interesów z Delfiną; mogę mówić o jego żalach, widziałem jak ze łzami w oczach biadał nad swym położeniem. Tak, płakał naprawdę!... po kolacji. Otóż, waszym zdaniem...

– Et, ty sobie kpisz z nas – rzekł Finot.

– Ani trochę. Chodzi o Rastignaca, którego cierpienie byłoby wedle was dowodem jego zepsucia, znaczyło bowiem, że nie dość kochał Delfinę! Ale co chcecie? Biedny chłopak miał ten cień w sercu. To jest szlachcic bardzo zepsuty, a my jesteśmy cnotliwi artyści. Zatem, Rastignac chciał wzbogacić Delfinę, on biedny ją bogatą! I czybyście uwierzyli?... Udało mu się. Rastignac, który byłby się bił jak Jarnac, przeszedł wówczas do opinii Henryka II, w myśl swego wielkiego słowa: „Nie ma absolutnej cnoty, są tylko okoliczności”. To się łączy z historią jego majątku.

– Powinien byś zacząć opowiadać, zamiast zastawiać pułapki naszej uczciwości – rzekł dobrodusznie Blondet.

– Ha ha! mój chłopcze – rzekł Bixiou, klepiąc go po głowie – odbijasz się przy szampańskim.

– No, na świętego Akcjonariusza – rzekł Couture – opowiadajże raz.

– Już miałem zacząć – odparł Bixiou – ale ty swoją kłatwą sprowadzasz mnie do zakończenia.

– Są więc akcjonariusze w twojej historii? – spytał Finot.

– Krezusy tacy jak twoi – odparł Bixiou.

– Zdaje mi się – rzekł Finot chłodno – że powinien byś mieć niejakie względy dla przyjaciela, u którego znajdujesz w potrzebie pięćset franków....

– Garson⁶! – krzyknął Bixiou.

– Czego chcesz od garsona? – spytał Blondet.

– Pięćset franków, aby je oddać Finotowi, aby oswobodzić mój język i podrzeć moją wdzięczność.

– Gadajże swoją historię – rzekł Finot, udając, że się śmieje.

– Jesteście świadkami – rzekł Bixiou – że nie jestem niewolnikiem tego pyszałka, który myśli, że moje milczenie warte jest tylko pięćset franków! Nie będziesz nigdy ministrem, jeżeli nie umiesz taksować sumień. A więc, dobrze – rzekł pieszczotliwie – mój pocziwy Finot, opowiem historię, nie wymieniając osób i skwitujemy się.

– Udowodni nam – rzekł Couture z uśmiechem – że to Nucingen dał majątek Rastignacowi.

– Nie tak źle trafiłeś, jak sądzisz – odparł Bixiou. – Wy nie wiecie, co to jest Nucingen, biorąc finansowo.

– Czy nie wiesz – rzekł Blondet – czegoś o jego początkach?

– Widywałem go tylko u niego w domu – odparł Bixiou – ale mogliśmy się niegdyś spotkać w ciemnym lesie.

– Tryumfy firmy Nucingen, to jedno z najosobliwszych zjawisk naszej epoki – podjął Blondet. – W roku 1804 Nucingen był prawie nieznany, ówczesni bankierzy drżeliby, gdyby wiedzieli, że jest w obiegu jego weksli na sto tysięcy talarów. Ten wielki finansista czuł swoją mizериę. Jak się dać poznać? Zawiesza wypłaty. Brawo! Nazwisko jego, dotąd ograniczone do Strasburga i do dzielnicy Poissonière, brzmi na wszystkich rynkach! Spłaca wierzycieli martwymi walorami i znów jest wypłacalny: natychmiast podpis jego ma obieg w całej Francji. Niesłychanym trafem walory odżywają, zyskują popyt, dają dywidendę. Nucingen staje się bardzo poszukiwany. Przychodzi rok

⁶ *garson* (z fr.) – kelner. [przypis edytorski]

1815, ten zuch skupia swoje kapitały, kupuje rentę przed bitwą pod Waterloo, zawiesza płatności w momencie przesilenia, likwiduje akcjami kopalni Worszyńskich, które skupił po dwadzieścia od sta niżej kursu po jakim je sam wypuszczał! Bierze od Grandeta sto pięćdziesiąt tysięcy butelek szampana, aby się pokryć w przewidywaniu bankructwa tego cnotliwego ojca dzisiejszego hrabiego d'Aubrión, i tyleż od Duberghe'a win Bordeaux. Tych trzysta tysięcy butelek, **przyjętych**, przyjętych, mój drogi, po półtora franka, daje wypić Sprzymierzonym po sześć franków w Palais-Royal, między rokiem 1817 a 1819. Akcept firmy Nucingen i jej nazwisko stają się europejskie. Dostojny baron wyrósł na przepaści, w której inni utonęli. Dwa razy bankructwo jego dało olbrzymie zyski wierzycielom: chciał ich orznać, niemożliwe! Uchodzi za najuczciwszego człowieka pod słońcem. Po trzeciej niewypłacalności akcepty banku Nucingen zaczęły mieć obieg w Azji, w Meksyku, w Australii, u dzikich. Ouvrard był jedynym, który przejrzał tego Alzatzczyka, syna jakiegoś Żyda ochrzczonego dla kariery. „Kiedy Nucingen wypuszcza złoto, mówił, bądźcie pewni, że łowi diamenty”!

– Kompan jego du Tillet nie ustępuje mu – rzekł Finot. – Pomyślcie tylko, że du Tillet to człowiek, który, co się tyczy urodzenia, ma tylko tyle, ile jest nieodzowne, aby istnieć, i że ten chwyt, który nie miał ani szeląga w roku 1814, stał się tym, co widzicie: i, czego żaden z nas (nie mówię o tobie, Couture) nie umiał sprawić, on ma przyjaciół miast mieć wrogów. Przy tym tak dobrze umiał ukryć swoją przeszłość, że trzeba było przeszukać kanały, aby odkryć, że był subiektem u olejkarza przy ulicy Saint-Honoré, nie później niż w 1814.

– Ta! ta! ta! nie porównujcie z Nucingenem drobnego naciągacza jak du Tillet, szakala, który wygrywa dzięki swemu węchowi, który przeczuwa trupy i przybywa pierwszy, aby mieć najlepszą kość. Przyjrzyjcie się zresztą tym dwóm ludziom: jeden ma drapieżną minę kota, chudy, wysoki; drugi jest kwadratowy, tłusty, ciężki jak worek, nieruchomy jak dyplomata. Nucingen ma ciężką rękę i spojrzenie rysia, które nie ożywia się nigdy, głębia jego nie jest z przodu, ale z tyłu; jest nieprzenikniony, nigdy nie widzi się jego gry, gdy spryt du Tilleta podobny jest – jak powiedział Napoleon, nie wiem o kim – do wełny przedzionej zbyt cienko, trzaska.

– Nie widzę w Nucingenie żadnej wyższości nad du Tilletem, prócz tej, iż miał ten takt, aby zrozumieć, że finansista powinien być tylko baronem, gdy du Tillet chce zostać włoskim hrabią – rzekł Blondet.

– Pozwól, Blondet, słoweczko – odparł Couture. – Po pierwsze, Nucingen ośmielił się powiedzieć, że istnieją jedynie pozory uczciwych ludzi; po wtóre, aby go dobrze znać, trzeba być samemu w interesach. Jego bank to mały departament: są tam dostawy dla rządu, wino, wełna, indygo, słowem wszystko, co nastrecza jakikolwiek zysk. Geniusz jego obejmuje wszystko. Ten słoń finansowy sprzedawczy posłów rządowi, a Greków Turkom. Dla niego handel to, powiedziałaby Cousin, zespół rozmaitości, harmonia specjalności. W ten sposób pojęty bank staje się całą polityką, wymaga potężnej głowy i zmusza wówczas tego chwata do tego, aby się postawił ponad prawa uczciwości, w których mu jest zbyt ciasno.

– Masz słuszość, mój synu – rzekł Blondet. – Ale tylko my jedni rozumiemy, że to jest wówczas wojna przeniesiona w świat pieniądza. Bankier jest zdobywcą, który poświęca masy, aby dojść do ukrytych celów; jego żołnierze to interesy prywatnych osób. Ma swoje kombinacje strategiczne, swoje zasadzki, swoich partyzantów, swoje miasta do zdobycia. Większość tych ludzi ociera się z tak bliska o politykę, że w końcu w nią wchodzi i zarzynają się tym. Necker zarznął się w ten sposób, słynny Samuel Bernard niemal zrujnował się na tym. W każdym stuleciu istnieje bankier olbrzymio bogaty, który nie zostawia ani majątku, ani spadkobiercy. Bracia Pâris, którzy przyczynili się do zwalenia Lawa, i sam Law, przy którym wszyscy kombinatorzy towarzystw akcyjnych są karłami, Bouret, Beaujon, wszyscy znikli, nie zostawiając następców. Aby móc przetrwać, bankier musi zostać szlachcicem, założyć dynastię, jak owi wierzyciele Karola piątego, Fuggerowie, mianowani książętami Babenhausem i którzy istnieją jeszcze... w Almanachu Gotajskim. Bank dąży do szlachectwa przez instynkt samozachowawczy, może bezwiednie. Jakub Coeur dał początek

wielkiemu szlacheckiemu domowi Noirmoutier, wygasłemu za Ludwika XIII. Cóż za energia u tego człowieka, zrujnowanego tym, iż osadził na tronie prawego króla! Umarł jako władca wyspy na archipelagu, gdzie zbudował wspaniałą katedrę.

– Och, jeżeli zaczniecie się bawić w wykład historii, wychodzimy z obecnej epoki, gdzie tron wuzuty jest z prawa nadawania szlachectwa i gdzie robi się baronów i hrabiów przy zamkniętych drzwiach, cóż za nędza! – rzekł Finot.

– Żałujesz **chamskiego mydełka**⁷ – rzekł Bixiou – masz słuszność. Wracam do naszej sprawy. Znacie Beaudenorda? Nie, nie, nie. Dobrze. Widzicie, jak wszystko mija! Biedny chłopiec był perłą dandysów dziesięć lat temu. Ale wsiąkł tak gruntownie, że tak samo go nie znacie, jak Finot nie znał przed chwilą pochodzenia **ciosu Jarnaca** (mówię to przez zwrot retoryczny, a nie żeby ci dokuczać, Finot!). Bagatela, toż on bywał w całym Saint-Germain. Otóż ten Beaudenord to pierwszy gołąbek, którego wypuszczę na scenę. Po pierwsze nazywał się Godfryd de Beaudenord. Ani Finot, ani Blondet, ani ja nie gardzilibyśmy takim atutem. Ten chwyt nie cierpiał mąk miłości własnej, słysząc, jak wołają jego służbę przy wyjściu z balu, kiedy trzydzieści ładnych kobiet zakutanych w szale, w otoczeniu mężów i wielbicieli czeka na swoje powozy. Następnie cieszył się wszystkimi członkami, jakich Bóg użyczył człowiekowi; zdrow, cały, ani plamki na oku, ani fałszywego czuba, ani fałszywych łydek; nogi ani w O ani w X; kolana gładkie, stos pacierzowy prosty, talia smukła, ręka biała i zgrabna, włosy czarne, cera ani nie czerwona jak u piekarza, ani nie zbyt ciemna jak u Kalabryjczyka. Wreszcie, rzecz zasadnicza! Beaudenord nie był zbyt piękny, jak niektórzy z naszych przyjaciół, którzy wyglądają na to, że piękność to ich jedyny fach; ale nie wracamy już do tego, powiedzieliśmy już, to haniebne! Strzelał dobrze z pistoletu, jeździł świetnie konno, bił się o głupstwo i nie zabił przeciwnika. Czy wiecie, że, aby pokazać, z czego składa się szczęście całkowite, czyste, bez chmurki w dziewiętnastym wieku w Paryżu i szczęście młodego człowieka lat dwudziestu sześciu, trzeba wejść w nieskończenie małe drobiazgi życia? Szewc znał nogę Beaudenorda i robił mu świetne obuwie, krawiec ubierał go z entuzjazmem. Godfryd nie seplenił, nie zarywał z gaskońska ani z normandzka, mówił czysto i poprawnie i doskonale wiązał krawat, jak Finot. Spowinowacony z margrabią d'Aiglemont, swoim opiekunem (był sierotą bez ojca i matki, też szansa!), mógł bywać i bywał u bankierów, nie drażniąc tym arystokratycznych salonów, na szczęście bowiem młody człowiek ma prawo rządzić się jedynie własną przyjemnością, pędzić tam, gdzie się bawia, i uciekać od ponurych kątów, gdzie kwitnie zgryzota. Wreszcie, był szczepiony (ty mnie rozumiesz, Blondet). Mimo tych wszystkich przewag, mógłby się czuć bardzo nieszczęśliwym. He he! szczęście ma to nieszczęście, że udaje coś absolutnego: pozór, który każe tylu dudkom pytać: „Co to jest szczęście”? Kobieta bardzo inteligentna mówiła: „Szczęście jest tam, gdzie się je kładzie”.

– Głosiła smutną prawdę – rzekł Blondet.

– I moralną – dodał Finot.

– Arcymoralną! Szczęście jak cnota, jak zło to pojęcia względne – odparł Blondet. – Toteż la Fontaine miał nadzieję, że z biegiem czasu potępieńcy przywykną do swego położenia i będą się w końcu czuli w piekle jak ryby w wodzie.

– Kołtuny znają wszystkie dowcipy la Fontaine'a – rzekł Bixiou.

– Szczęście człowieka dwudziestosześcioletniego w Paryżu nie jest to samo, co szczęście człowieka dwudziestosześcioletniego w Blois – rzekł Blondet nie zwracając uwagi. – Ci, co na tej zasadzie piorunują na niestałość zasad, to szalbierze lub ignoranci. Nowoczesna medycyna, której najpiękniejszym tytułem chwały jest, iż od roku 1799 do 1837 przeszła z fazy przypuszczeń w fazę wiedzy pozytywnej, a to dzięki zdobyczom paryskiej szkoły analitycznej, wykazała, że w pewnym okresie człowiek odnawia się całkowicie...

⁷ *chamskie mydełko* – *Savonette a vilain*, tak nazywano ironicznie w XVII wieku urzędy, które dawały plebejuszom godność szlachecką. [przypis tłumacza]

– Jak ten „jasiów nożyk”, a wy myślicie, że on jest ciągle ten sam – wtrącił Bixiou. – Jest tedy dużo kratek w tym stroju Arlekina, który my nazywamy szczęściem; otóż kostium mego Godfryda był bez dziur i bez plam. Młody dwudziestosześcioletni człowiek, który byłby szczęśliwy w miłości, to znaczy kochany nie dla swej kwitnącej młodości, nie dla swego dowcipu, nie dla swojej figurki, ale nieodparcie, nawet nie dla miłości samej w sobie, ale gdyby nawet ta miłość była abstrakcją – aby się znów posłużyć terminem Royer-Collarda – taki młody człowiek mógłby nie mieć ani szeląga w sakiewce wyhaftowanej przez ukochaną, mógłby wisieć z komornem u gospodarza, z rachunkiem za buty u wspomnianego już szewca, za ubranie u krawca, który w końcu, jak Francja, postradałby doń sympatię. Słowem, mógłby być biedny! Nędza psuje szczęście młodego człowieka, który nie ma naszych filozoficznych poglądów o zlanu interesów. Czyż to nie znaczy mieć jedną nogę skostniałą, jak moja w tej chwili, od sąsiedztwa drzwi, a drugą spaloną od kominka? Mam nadzieję, że mnie rozumiecie i że znalazłem echo w kieszeni twojej kamizelki, Blondet? Między nami mówiąc, dajmy pokój sercu, fatalnie wpływa na inteligencję. Jedźmy dalej! Godfryd de Beaudenord posiadał tedy szacunek swoich dostawców, bo jego dostawcy otrzymywali dość regularnie pieniądze. Kobieta bardzo inteligentna, już wspomniana, a której nie można wymienić, gdyż, dzięki swemu brakowi serca, żyje...

– Kto to taki?

– Margrabina d'Espard! Powiadała, że młody człowiek powinien mieszkać w antresoli, nie mieć w domu, nic, co by trąciło gospodarstwem, ani kucharki, ani kuchni, mieć za całą usługę starego lokaja i nie zdradzać żadnej pretensji do urządzania się. Wedle niej, wszelki inny obyczaj jest w złym smaku. Godfryd de Beaudenord, wierny temu programowi, mieszkał przy Quai Malaquais w antresoli; mimo to zmuszony był mieć pewne podobieństwo z żonkosiami, stawiając w swoim pokoju łóżko, zresztą tak wąskie, że mało w nim przebywał. Angielka, która by weszła przypadkiem do niego, nie znalazłaby tam nic *improper*. Finot znów sobie każe tłumaczyć wielkie prawo *improper* władające Anglią! Ale skoro jesteśmy związani tysiącfrankowym banknotem, objaśnię ci to. Ja byłem w Anglii! (Po cichu do Blondeta: „Sypię mu dowcipu za więcej niż dwa tysiące”). W Anglii, Finot, zawierasz bardzo ścisłą znajomość z kobietą przez jedną noc, na balu lub gdzie indziej: spotykasz ją nazajutrz na ulicy, poznajesz ją: *improper*! Znajdujesz przy obiedzie w sąsiedzie swoim po lewej ręce przemiłego człowieka, dowcipnego, swobodnego, wesołego, antyangielskiego; tedy w myśl praw dawnego salonu francuskiego, tak swobodnego, tak miłego, zagadujesz go: *improper*! Podchodzisz na balu do ładnej kobiety, aby z nią zatańczyć: *improper*. Rozpalasz się, dysputujesz, śmiesz się, otwierasz serce, duszę, siejesz dowcip, inteligencję w rozmowie; dajesz upust uczuciom; grasz, kiedyś siadł do gry, rozmawiasz, kiedy rozmawiasz i jesz, kiedy jesz: *improper! improper! improper!* Jeden z najdowcipniejszych i najgłębszych ludzi naszej epoki, Stendhal, scharakteryzował bardzo dobrze *improper*, powiadając, że istnieje w Wielkiej Brytanii lord, który, będąc w pokoju sam, nie śmie przy kominku założyć nogi na nogę z obawy, by nie być *improper*. Dama angielska, choćby należała do wścieklej sekty **świętych** (dubeltowi protestanci, którzy zamorzyliby całą swoją rodzinę głodem, gdyby była *improper*), nie będzie *improper*, brojąc co wlezie w swojej sypialni, a uważałaby się za zgubioną, gdyby przyjęła znajomego w tym samym pokoju. Dzięki *improper*, znajdą kiedyś Londyn i jego mieszkańców skamieniałych.

– Kiedy się pomyśli, że są we Francji cymbały pragnący wprowadzić do nas uroczyste głupstwa, jakie Anglicy robią u siebie z ową wspaniałą zimną krwią – rzekł Blondet – ciarki przechodzą człowieka, który widział Anglię i który pamięta uroczy i pełen wdzięku obyczaj francuski. W ostatnich czasach Walter Scott, który nie śmiał malować kobiet takimi, jak są, z obawy, aby nie być *improper*, kajał się, iż stworzył piękną postać Effie w *Więzieniu Edynburskim*.

– Chcesz nie być *improper* w Anglii? – rzekł Bixiou do Finota.

– No jak? – spytał Finot.

– Idź do Tuileries zobaczyć tego marmurowego strażaka, którego rzeźbiarz nazwał Temistoklesem, i staraj się chodzić jak posąg komandora, a nie będziesz nigdy *improper*. Otóż

szczęście Godfryda stało się kompletnym przez najściślejsze zastosowanie wielkiego prawa *improper*. Oto jak. Miał **tygrysa** nie grooma, jak piszą ludzie niemający pojęcia o szyku. Tygrys jego był to mały Irlandczyk, nazwiskiem Paddy, Joby, Toby (jak wolicie), trzy stopy wzrostu, dwadzieścia cali szeroki, buzia łasicy, nerwy jak stal moczona w dżinie, zwinny jak wiewiórka, powożący ze zręcznością, która go nie zawiodła nigdy ani w Londynie, ani w Paryżu; oko jaszczurcze, sprytnie jak moje, jeździł konno jak stary Frankoni, włosy blond jak u Rubensowej dziewczyny, buzia czerwona, fałszywy jak monarcha, kuty jak stary kauzyperda, liczący dziesięć lat wieku, słowem istny kwiat perwersji, grający, klnący, amator konfitur i ponczu, napastliwy jak felieton, zuchwały i drapieżny jak ulicznik paryski. Był chwałą i zyskiem sławnego lorda angielskiego, który dzięki niemu wygrał już siedemset tysięcy franków na wyścigach. Lord lubił bardzo tego dzieciaka, jego tygrys to była osobliwość, nikt w całym Londynie nie miał tak małego tygrysa. Na koniu wyścigowym Joby robił wrażenie sokoła. I oto lord odprawił Toby'ego nie za łakomstwo ani za kradzież, ani za morderstwo, ani za występne stosunki, ani za uchybienie służbie, nie za zuchwalstwo wobec milady, nie za to, że rozpruł kieszenie pokojówki milady, nie za to, że się dał przekupić przeciwnikom lorda na wyścigach, nie za to, że się bawił w niedzielę, słowem nie za żaden fakt naganny. Gdyby Toby popełnił wszystkie te zbrodnie, gdyby nawet przemówił do milorda niepytany, milord przebaczyłby mu ten występki. Milord zniósłby wiele rzeczy od Toby'ego, tak milordowi zależało na nim. Jego tygrys prowadził powóz na dwóch kołach i o dwóch koniach, jeden przed drugim, siedząc na siodle na drugim koniu, z nogami nie dochodzącymi do dyszlów, z miną jednego z aniołków, którymi malarze włoscy otaczają przedwiecznego Ojca. Pewien dziennikarz angielski ślicznie opisał tego aniołka, osądził, że jest za ładny na tygrysa, chciał iść o zakład, że Paddy jest oswojoną tygrysią. Opis groził, że będzie coraz jadowitszy i że się stanie *improper*

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.